

Przeclawskie wspomnienia

z życia Teofila Lenartowicza ur. 20. 5. 1928 r.

w Katowicach. Dotyczą Przeclawia i Ziemi Mieleckiej, które pozostały
moją Małą Ojczyzną, do której zawsze wracam i za nią tęsknię - napisane
w latach 1997-2005 cz. X

W JASKINI LWA

Jeszcze gdzieś pod koniec roku szkolnego nasz wychowawca Major zakomunikował nam wiadomość, że w nagrodę za dobre wyniki w nauce 5-ciu z nas dostanie nakazy pracy do Departamentu Łączności w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Zachwalał dobre warunki, pracę w Warszawie i możliwość kontynuowania nauki. Wytypowano z naszej klasy 5-ciu. Byłem to ja, Aleszczyk Robert, Jankowski, Firlej i jeszcze jeden, którego już nie pamiętam. Ochotniczo zgłosił się jeszcze Krzywonos i dwu innych. Następnego dnia przeprowadził z nami pojedynczo rozmowę porucznik Pożoga będący kadrowcem w Dep. Łączności MBP. (Po latach ten porucznik był generałem w MSW i często oglądałem go w telewizji). Pożoga znał szczegóły z mojego skromnego życiorysu i o wszystko dokładnie mnie wypytywał. Najwięcej wypytywał o wujka Heńka. Opowiedziałem mu w szczegółach jak było, a on nakazał mi zaraz przy nim, abym to opisał dokładnie tak jak mówiłem i podpisał się pod tym w formie oświadczenia. Gdy skończyłem pisać przeczytał to i zaczął mnie wypytywać o rodzinę za granicą. I w tym momencie stała się rzecz dziwna, gdyż do dzisiejszego dnia nie mogę zrozumieć, co mi strzeliło do głowy, mówiąc, że nie mam rodziny za granicą.

Nie rozumiem, dlaczego wówczas tak powiedziałem. Zawsze starałem się w takich wypadkach nie kłamać, aż tu nagle taki błąd. Być może uległem ogólnemu mniemaniu, że z rodziną za granicą trzeba się kryć, bo z tego mogą być kłopoty. W tamtym okresie tak było. Wprawdzie za zatajenie tego faktu mogły być jeszcze większe kłopoty, ale nie pomyślałem o tym. Później wielokrotnie wracałem do tego momentu swojego życia i zastanawiałem się jak wielki błąd popełniłem. Po latach doszedłem do wniosku, że zrobiłem tak, gdyż wcześniej przeoczyłem ten fakt pisząc życiorys. W życiorysie nie napisałem nic o rodzinie za granicą tylko o wujku Heńku. Gdybym wówczas nie zataił, że w Ameryce mam ciocię Karolinę wraz z wieloma dziećmi moimi kuzynami to sądzę, że nie przyjęto by mnie do tej służby.

Byłem im bliski klasowo, a także sierota, a więc kimś, za kim nie miałby się kto ująć. Miałem tylko Mamusię i Marysię i to właściwie była cała moja rodzina. Myślę, że moje dobre wyniki w nauce były chyba mniej ważne od pozostałych czynników.

Na decyzję o przyjęciu czekaliśmy około 2 miesięcy, podczas których musieli wszystkich łącznie z najbliższą rodziną dokładnie „prześwietlić”.

W taki to właśnie sposób zostałem zaszczycony pracą w Organach Bezpieczeństwa Publicznego. Wielkim moim zdziwieniem było to, że nie przyjęto Krzywonosa, wielkiego aktywistę i krzykacza, przewodniczącego ZMP. Teraz rozumiem, o co w tym wszystkim chodziło, ale teraz mam 77 lat, a wówczas 23. Było to jak widać zbyt mało żeby takie rzeczy pojąć.

Szkoła pożegnała nas uroczystie, albowiem każdego roku tak na rozpoczęcie jak i na zakończenie odbywały się uroczyste rozdania świadectw. Na dużej pięknej świetlicy były przemówienia, podziękowania i kwiaty. Grała zawsze przy takich okazjach pocztowa orkiestra dęta. Lubilem słuchać melodii tej orkiestry. Świetlica była ogromna, akustyka dobra, więc i efekty muzyczne były wspaniałe. Słuchając tej orkiestry żałowałem, że nie potrafię grać na żadnym instrumencie muzycznym. Potrafiłem jedynie śpiewać, ale okazji do tego było coraz mniej.

Nie miałem w tym roku po szkole urlopu. Zaraz po zakończeniu nauki musiałem się zgłosić do pracy w MBP. Pracę tam rozpoczynałem 1 lipca, więc miałem zaledwie kilka dni żeby pojechać do domu.

Mamusia nie była z mojej decyzji zadowolona. Sobota też ogromnie się zdziwił. Szkoda, że nie miałem ich wtedy w Warszawie, gdy podejmowałem decyzję. Jeszcze wtedy lechało moją ambicję, że nie będę listonoszem, biegającym z listami po wsiach, lecz będę w Warszawie pracował w ministerstwie. Spoglądając na to z perspektywy lat sądzę, że ten fakt był jak gdyby pewnym dowartościowaniem własnej osobowości. Chociaż się z tym nie obnosiłem to jednak mile lechało to moją ambicję.

Napisałem do cioci Karoliny w Ameryce, że nie będę mógł więcej do niej pisać i żeby ona więcej do mnie nie pisała. Nie napisałem jej, o co chodzi tylko dawałem do zrozumienia, że ze względu na pracę nie będę mógł prowadzić korespondencji. Ona to zrozumiała, bo od tej pory żaden list z Ameryki do Przeclawia nie przyszedł. Zdawałem sobie sprawę, że takiej korespondencji nie udałoby się ukryć, a gdyby ją odkryli to miałbym bardzo poważne nieprzyjemności.

WSPOMNIENIOWE NADWISŁOCZE

Był jeszcze jeden powód, dla którego korespondencja między ciotką Karoliną, a moją Mamą w Przecławiu została zerwana. Zrozumiałem to wiele lat później, kiedy w 2004 roku wnuk Stefana Lenartowicza z Tarnowskich Gór przysłał mi w ramach wymiany pamiątek rodzinnych list Karoliny z USA adresowany do jej przyrodniego brata Stefana. Z listu wynika, że moja Mama została przez Stefana i jego żonę niesprawiedliwie oczerniona. Świadczy o tym przytoczony z listu następujący urywek.

Ja nie piszę więcej do nich, kiedy tak zrobili. Teofil temu nie winien.... Bardzo paskudnie to zrobiła. To trzeba heretyka baby doprawdy.

Domyślałem się, że chodziło o wydarzenia z 1939 roku, kiedy żona Stefana Helena, przyjechała z dziećmi do Przecławia. Wydarzenia te w niekorzystnym dla Mamusi świetle przedstawiono Karolinie i stąd taka jej reakcja. Pisałem o tym w rozdziale pt. „Wojna”. Elektroniczna kopia listu Karoliny do Stefana znajduje się w pamiątkach rodzinnych.

W Przecławiu wiele przez te dwa lata się zmieniło. Młodzież wyjeżdżała stamtąd w poszukiwaniu pracy i do szkół. Mietek Czernia poszedł do wojska. Julek Grębosz (fot. 2/8) był na szkole oficerskiej w wojsku. Kilka razy odwiedził mnie w bursie na Żelaznej w Warszawie. Edkowi „Szafie” tak milicjanci przysłużyli się za to, że ich pobili, że dostał się do karnej jednostki w wojsku, gdzie całą służbę rąbał kamień w kamieniołomie. Po powrocie tak się zmienił, że kieliszka wódki do ust nie wziął. Miał na niego wpływ także fakt, że się ożenił. Nic nie można było z niego wydusić, gdzie był w tej karnej jednostce i jak mu tam było. Co najwyżej można się było tego domyślić. Czesiek Bukowy i Milek Wątróbski poszli do szkół telekomunikacyjnych. Jeden uczył się w Katowicach, a drugi w Krakowie. Kazek Grębosz poznał jakaś dziewczynę z Wadowic, gdzie się ożenił i zamieszkał. Wisia Nowak wyszła za mąż za Fredka Nowaka. Kilku chłopców Tonik Bukowy i Roman Czernia wyjechali na zachód. Wiele innych dziewcząt i chłopców młodszych ode mnie dojeżdżało do Mielca, gdzie się uczyli lub pracowali. Każde z nich miało już swoje życie. Tylko starsi i najwięksi zapaleńcy chodzili jeszcze na próby do Zajchuberki, ale i to się już rozlatywało. Przecław powoli pustoszał, a jego życie zamierało. Tylko święty Jan jak dawniej stał na środku rynku i rozglądał się dokoła.

1 lipca 1951 roku zgłosiłem się do pracy w MBP na ulicy Ksawerów na Mokotowie. Razem ze mną zgłosili się tam Aleszczyk, Jankowski i Firlej. Z innych klas technikum na Nowogrodzkiej przyszedł Julek Góździk, Skibiński i Kania. Rozmowę z nami przeprowadził dyrektor Dep. Łączności MBP płk Sucek.

Był to Rosjanin w polskim mundurze słabo mówiący po polsku, ale można było go zrozumieć. Chyba chciał zobaczyć tylko nasze gęby, bo rozmowa trwała krótko. Po załatwieniu wszelkich formalności, wydaniu odpowiednich przepustek, podpisaniu zobowiązań o przestrzeganiu tajemnicy i innych przydzielono mnie, Julka Góździka, Skibińskiego, Firleja i Kanię do wydziału II-go Dep. Łączn. MBP, a pozostałych porozdzielano po innych wydziałach. Jankowski poszedł na centralę rządową, a Robert Aleszczyk na stację zgłaszającą zachodnie rozgłośnie radiowe.

Nasz Wydział II mieścił się na ulicy Bagatela 14. Była to krótka ulica biegnąca od Belwederu do placu Unii Lubelskiej. Numer 14 był budynkiem stojącym przy placu Unii lubelskiej i rogu ulicy Bagatela. Znajdowała się tam na parterze księgarnia, a od jej zaplecza było wejście do wyższych kondygnacji budynku. Na 1-wszym piętrze nad samą księgarnią mieścił się wydział II pilnowany przez strażników. Znajdowała się tam stacja wysokiej częstotliwości, na której mieliśmy pracować. Pomieszczenie, w którym się to znajdowało, zapewne było kiedyś dużym, pięknym mieszkaniem. Ze względu na narażenie usytuowanie budynku przy placu Unii Lubelskiej ściany pomieszczeń nie były prostopadłe do siebie, lecz ukośne. W jednym z tych pomieszczeń wysoko aż po sufit stała rzędami ustawiona aparatura 3-kanalowej telefonii wielokrotnej popularnie nazywana wysokiej częstotliwości, skąd pochodził skrót WCz. Skrót ten

nazywano wszystkie urządzenia współpracujące ze stacją, a więc telefony abonenckie, centrale telefoniczne, linie przesyłowe i urządzenia szzyfrujące.

Stacja WCz służyła do międzymiastowej łączności między wszystkimi Wojewódzkimi Urzędami Bezp. Publicznego, a Ministerstwem BP. Ponieważ było wówczas 17 województw, więc stacja na Bagatela miała 17 kierunków po 3 kanały na każdy kierunek. Była to angielska aparatura o nazwie SAS i SAT. Mieliśmy jedno wyjście na radziecką centralę, poprzez którą można było dostać połączenie [lub nie było można dostać, gdyż było to uzależnione od tego, kto z naszej strony prosił o połączenie i czy Radziecka centrala zechciała połączenie zrealizować] z Moskwą i pozostałymi stolicami Krajów Demokracji Ludowych. W późniejszym okresie doszła łączność ze wszystkimi Powiatowymi Urzędami Bezp. Publicznego. Łączność WCz nie miała połączenia z żadną inną siecią łączności, a więc podległa PPTiT, czy inną centralą taką jak KBW, lub MON. Nie miała połączenia nawet z Centralą Rządową, służącą członkom rządu do porozumiewania się między sobą.

Łączność swoją MBP udostępniało pierwszemu sekretarzowi KCPZPR Bolesławowi Bierutowi, premierowi rządu Cyrankiewiczowi, ważniejszym członkom rządu i ministrom. W MBP telefon WCz mieli oprócz ministra Radkiewicza i wiceministra Romkowskiego, także dyrektorzy departamentów MBP tacy jak Fejgin, Różański i inni, których nazwisk nie pamiętam. Jeśli nie było w gabinecie dyrektora, nikomu oprócz upoważnionego dyżurnego oficera w randze co najmniej majora nie wolno było z tej łączności korzystać. Wszystkie gabinety czynne były przez okrągłą dobę i biegly z nich dyrektywy w teren. Była to łączność międzymiastowa i abonentów lokalnych nie wolno było łączyć ze sobą. Jak wspomniałem poprzednio dla łączności lokalnej służyła tzw. „Centrala Rządowa”, ale wyjścia z niej na naszą centralę WCz nie było. Abonenci w ilości ponad 100 byli podłączeni do 200-numerowej centrali znajdującej się w następnym pomieszczeniu za naszą aparaturą. Była to ręczna centrala posiadająca 4 stanowiska, na których pracowało 4 telefoniistów w ciągu dnia, a w nocy jeden. Byli to mężczyźni, a wśród nich jedna kobieta nazwiskiem Pokatiłowa, żona jakiegoś sowieckiego pułkownika. Telefoniści ręcznie łączyli abonentów naszej centrali z abonentami poszczególnych województw.

W Wojewódzkich Urzędach Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) znajdowały się stacje WCz współpracujące z naszą i posiadały następujących abonentów. Szef WUBP, 1-szy sekretarz KWPZPR i przewodniczący Woj. Rady Narodowej (WRN). Telefony WCz stały w ich gabinetach i tylko upoważnieni mogli z nich korzystać. Dostęp do tej łączności strzeżony był bardzo ściśle zarówno w Warszawie jak i w województwach. Z sieci łączności WCz było tylko jedno wyjście na radziecką centralę, przez którą można było osiągnąć stolice Krajów Demokracji Ludowych (KDL) takich jak Moskwa, Berlin, Praga czy inne. Na żadną inną sieć łączności, wyjścia nie było. Nawet na centralę rządową, która także obsługiwana była przez MBP i na której pracował mój kolega z klasy Jankowski. Nie było też wyjścia na centralę MON.

Radziecka stacja WCz znajdowała się w Warszawie i łączyć można było z nią tylko niektórych abonentów. Nie wiedzieliśmy, gdzie ta stacja się znajduje, ale przypuszczam, że gdzieś bardzo blisko, a najprawdopodobniej w tym samym budynku.

Po ogólnym zapoznaniu się z aparaturą mnie i Julka Góździka przydzielono dyżurnym technikom na zmiany. Na zmianach pracowali Ruscy i polscy techniczni oficerowie. Ruscy technicy odeszli po kilku miesiącach i odtąd personel techniczny pozostał w całości polski. Julek Góździk pracował na zmianie z por. Kuczyńskim, a ja pracowałem z por. Rybczyńskim.

Naszim zadaniem było utrzymanie w sprawności technicznej wszystkich urządzeń stacji WCz, centrali telefonicznej i telegrafu, który był w następnym pomieszczeniu. Do naszych obowiązków należało sprawianie nadzoru nad wszystkimi wojewódzkimi stacjami WCz, a także liniami przesyłowymi. 3-kanalowa aparatura

o szerokości 1-go metra na każdy wojewódzki kierunek stała na sali w trzech rzędach do wysokości sufitu. Nie było w tamtych czasach tranzystorów ani obwodów scalonych. Urządzenia pracowały na lampach elektronowych, więc zajmowały dużo miejsca i pobierały dużo energii elektrycznej. Zasilane były z sieci energetycznej, ale na wypadek awarii sieci mieliśmy w piwnicy spalinowy agregat prądotwórczy, który w wypadku awarii uruchamialiśmy i przełączaliśmy stację na własne zasilanie.

W skład jednego kanału wchodził generator częstotliwości nośnej, generator sygnału 500 c/s, do pomiarów 800 c/s, modulator, demodulator, filtry, panel kontrolny i kilka o mniejszym znaczeniu. Każde było w osobnym panelu. Na każdy kierunek trzeba te panele pomnożyć przez 3, bo aparatura była 3-kanałowa, więc było tego sporo. Na każdym kanale było kilkadziesiąt lamp elektronowych, łącznie, około 1000, więc jak to wszystko zaczęło latem grzać, to trudno było wytrzymać, a klimatyzacji nie było.

Było jeszcze pomieszczenie telegrafu, który też nam podlegał technicznie, ale z nim było najmniej kłopotów, gdyż telegraf pracował na niskiej częstotliwości. Telegrafista, który go obsługiwał nie miał zbyt wiele pracy. Z innych pomieszczeń było pomieszczenie kierownika stacji kpt. Dyrą i pokój tzw. AS-ów. AS-ami nazywano urządzenia szyfrujące rozmowę i zabezpieczające je przed podsłuchem. Za pracę tych urządzeń odpowiadał jeden pracownik i tylko on miał dostęp do tych urządzeń, których działanie trzymano w ścisłej tajemnicy. Był to człowiek bardzo niskiego wzrostu i nazywał się Kluk.

Kierownikiem stacji WCz i moim przełożonym był kpt. Dyr, a jego zastępcą kpt. Krawczyk. Naczelnikiem naszego wydziału był Żyd płk Cwejman. Był człowiekiem bardzo nieprzyjemnym w obęściu z personelem. Człowiek ten był mistrzem w podniecaniu atmosfery strachu, wzajemnej nieufności i donosicielstwa. Jeszcze zanim przyszedliśmy do pracy w MBP ktoś dobrze zorientowany przestrzegaliśmy nas abyśmy nie trafili do Cwejmana. Nie wiem skąd ktoś z zewnątrz mógł o tym wiedzieć, ale tak było. Jak zwykle przeważnie wyciągałem trefny los i tak było tym razem, bo tam właśnie się dostawałem. Wkrótce przekonałem się jak perfidnymi metodami działał Cwejman, aby antagonizować między sobą pracowników nie dopuszczając do zażyłości i przyjaźni. Dotyczyło to szczególnie tych pracowników, którzy pracując na zmianach mieli możliwość podsłuchu rozmów. Starano się tak wypełnić nam czas, aby nie było chwili odpoczynku. Dotyczyło to szczególnie nocy, gdyż była wtedy tylko nieliczna ilość personelu, a więc ograniczona możliwość patrzenia jeden drugiemu na ręce. Znam tylko jeden wypadek nawiązywania zażyłości między pracownikami. Byli to Marta z Włodarczykiem, którzy pobrali się. Marta następnego roku po mnie przyszła do pracy po technikum radiotechnicznym, a on w tym czasie przyszedł po oficerskiej szkole łączności wraz z kilku innymi porucznikami. Nigdy jednak na jednej zmianie nie wykonywali tej samej pracy i nie pracowali na dyżurach.

Po zapoznaniu się z ogólnymi zasadami i znajomością aparatury, jak już wspominałem przydzielono mnie i Julka Góździka dyżurnym technikom. Rybzyński i Kuczyński byli oficerami po szkole łączności, ale teoretycznie z podstaw telefonii, telegrafii, czy nawet elektrotechniki nie wiedzieli wiele. Tłumaczyłem to sobie niskim poziomem szkół oficerskich w tamtych czasach i najprawdopodobniej brakiem tak dobrych wykładowców, jakich ja miałem na Nowogrodzkiej.

Por. Rybzyński, z którym pracowałem na zmianie był dobrym praktykiem i praktycznie na wycucie wiele potrafił zrobić. Miał nosa do wykrywania usterek i często bezbłędnie udawało mu się wykryć uszkodzony element w aparaturze. Być może nauczył się tego od Rosjan, którzy po pewnym czasie odeszli. Rybzyński był dla mnie bardzo wymagający i nie dawał mi taryfy ulgowej. Podnosił mi coraz wyżej poprzeczkę wykonywanych zadań.

Mieliśmy teoretyczne szkolenie z pracy aparatury, ale przyznając, że niewiele mnie nauczyli. Nikt z nich nie potrafił wyłożyć teoretycz-

nych zagadnień z telefonii wielokrotnej tak jak robili to wykładowcy z Nowogrodzkiej. W szkole tylko ogólnie zapoznany byłem z tymi zagadnieniami, więc teraz pracując tu należało je dokładnie poznać. Miałem dostęp do schematów i instrukcji, więc wgrzyzałem się w techniczne zagadnienia. Pamiętam jak jednego razu na szkoleniu płk Cwejman pytał po kolei jak podawany jest sygnał wywoławczy przeciwnej stacji. Kilku pod rząd nie odpowiedziało na to pytanie dopiero ja wyczerpująco powiedziałem, na czym to polega. W dodatku odpowiedzi udzieliłem określeniami takimi jak w instrukcji, czyli takimi, jakimi on chciał, co bardzo go usatysfakcjonowało. Wcale mnie to nie uchroniło przed późniejszymi represjami, jakimi mnie urażono. Robił to ze wszystkimi przy każdej nadarzającej się okazji. Wydawało się, że ten człowiek gardził ludźmi.

Po około pół roku pracy pracowałem już samodzielnie na dyżurach. Z Julkiem Góździkiem zastąpiliśmy Rybzyńskiego i Kuczyńskiego, którzy odeszli do innej pracy. Od tej pory całkowicie odpowiadałem za sprawność techniczną stacji WCz na swojej zmianie. Julek pracował na innej zmianie wykonując tą samą pracę, co ja. Odtąd byliśmy już pod całkowitą presją Cwejmana. Kierownik stacji kpt. Dyr nie potrafił się zdecydowanie przeciwstawić atakom Cwejmana na nas. Był zbyt miękki. Kiedy tłumaczyłem się przed nim ten przyznawał mi rację i rozumiał mnie, ale za żadne skarby nie potrafił tego powiedzieć Cwejmanowi. Po prostu bał się o swoją skórę.

Przeważnie chodziło o wpisy do dziennika. Było to największą zmartwieniem. Każde wydarzenie, które miało miejsce na dyżurze musiało być w dzienniku dokładnie opisane. Najwięcej czepiał się o nocne wydarzenia. Telefonista z centrali, jeżeli nie mógł się gdzieś dozwonić musiał ten fakt zameldować mnie. Musiałem działać, aby ustalić, co byłe przyczyną braku łączności. Jeśli z którymś z wojewódzkich kierunków nie było łączności to oprócz działań, aby ją przywrócić musiałem jeszcze wszystko dokładnie opisać. Tylko bardzo nieliczne defekty były na mojej stacji w Warszawie. Najczęściej zdarzało się to na stacjach przeciwnych, a najczęściej na liniach. Linie łączące poszczególne województwa z Warszawą były liniami napowietrznymi, które często zrywała burza. Musiałem wówczas uruchamiać posterunki Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego (KBW), które w terenie często bardzo odległym naprawiały linie. Najgorzej było na kierunku rzeszowskim, gdyż nie biegła tam linia miedziana, lecz aluminiowa, a jeszcze do tego wykorzystywana przez pocztę. Na niej były najczęstsze awarie.

Sąsiadujące z sobą województwa także miały z sobą łączność. Jeśli między województwami nie było łączności np. między Wrocławiem a Poznaniem to też musiałem o tym wiedzieć, działać na rzecz przywrócenia łączności, a następnie zapisać w dzienniku. Z terenu o wszystkich brakach łączności technicy wojewódzkich stacji WCz mieli obowiązek meldować mnie, a ja musiałem działać technicznymi radami i działaniami na rzecz nawiązania łączności. Następnie swoje i ich działania na placówkach musiałem dokładnie opisać w dzienniku. Odpowiadałem za to przed Cwejmanem.

Najczęściej zdarzało się, że dyżurny technik obsługujący centralę na wojewódzkiej stacji zaspał. Zaalarmowana o braku łączności najbliższa placówka KBW docierała tam i budziła delikwenta. Trzeba było taki fakt również odnotować. Dyżurni technicy na województwach obsługiwali aparaturę WCz i jednocześnie spełniali rolę telefonistów. W nocy był tam tylko jeden człowiek i w dodatku bardzo słaby technicznie. Jeśli było uszkodzenie na jego stacji to musiałem nim kierować udzielając wskazówek jak ma defekt usunąć. Łączyłem się z nim po niskiej częstotliwości i wykrzykując kierowałem nim, co ma robić, aż mnie gardło bolało. Po zakończeniu służby musiałem wszystko dokładnie zapisać. Często takich zdarzeń było kilka w tym samym czasie i wtedy było już urwanie głowy. Tak było zawsze po burzy, która zrywała linie napowietrzne.

Rano jeszcze zanim zdałem nocną służbę przychodził płk Cwejman, czytał dziennik, a następnie włączał się w poszczególne kie-

WSPOMNIENIOWE NADWISŁOCZE

runki łączności sprawdzając słyszalność. Jeśli nie była na jakimś kierunku dobra to musiałem się z tego tłumaczyć.

Aby zapewnić dobrą jakość słyszalności, do obowiązków dyżurnego technika należało nocą robić pomiary aparatury, czyli tzw. pomiar poziomu przenoszenia sygnału. Robiło się to zawsze późną nocą, kiedy nie było ruchu na centrali. Wykonywało się to wspólnie z technikiem na wojewódzkiej stacji. Najpierw on wysyłał mi sygnał z generatora o częstotliwości 800 c/s i poziomie zerowym, a ja regulowałem swoją aparaturę, żeby ten sam poziom uzyskać. Następnie role się odwracały i ja wysyłałem mu sygnał, a on regulował poziom sygnału otrzymany ode mnie. Pomiary przeprowadzałem na wszystkich kierunkach, a było ich 17. Potrzeba było na to 3 do 4 godzin. Najgorsze było to, że nie wszyscy technicy na wojewódzkich stacjach potrafili to robić. Jeśli nie dał na swojej stacji zerowego poziomu sygnału to cała regulacja u mnie była na nic. Znałem te pomiary po kilku miesiącach pracy na pamięć, ale oni słabo albo wcale. Nie było tam fachowców, pracowali ludzie, którzy oprócz włożenia wtyczki w gniazdko na centrali nic więcej nie potrafili zrobić. Musiałem z odległości instruować ich jak to robić. Wymagało to ogromnej cierpliwości i nerwów. Krzyczałem przez telefon, „weź sznur i włóż jeden koniec tu, a drugi tam, teraz zrób to, a potem tamto, przeczytaj wskazanie wskaźnika i przełącz taki przełącznik w takie lub inne położenie, a następnie ustaw potencjometrem wartość wskaźnika na taką, a potem inną itd.” Często, kiedy się u nich coś zepsuło to kazałem ściągać naczelnika wydziału łączności, aby przychodził i usuwał defekt. Odpowiadałem za przerwy w łączności przed płk Cwejmanem, a on w takich wypadkach był bezwzględny. Byłem pierwszy, który obrywał za takie zdarzenia. Wszystko, co się wydarzyło na naszej stacji i na województwach podczas dyżuru musiało być dokładnie opisane w dzienniku. Wymagało to sporo czasu i nie było wolnej chwili, aby odpocząć. Chyba też i o to chodziło, aby nie mieć czasu na ewentualne podsłuchiwanie rozmów.

Mnóstwo lamp elektronowych w aparaturze niesamowicie grało. W pomieszczeniu nie było wentylacji, więc latem ciężko było wytrzymać. Poza tym w aparaturze, w kablach i wszędzie roilo się od pluskiew. Roje pluskiew tak się dawały we znaki, że po nocy, gdy wracałem do hotelu to cały śmierdziałem tymi pluskami. Chodziły nawet po biurku i wchodziły między kartki dziennika, który Cwejman każdego rana oglądał. Nigdy jednak nic nie zrobiono, aby ten stan zmienić. Już po roku takiej pracy dużo dałbym, aby się stamtąd wyrwać, ale wiadomo było, że to niemożliwe. Znało się zbyt wiele tajemnic, aby człowieka puścić. Na dobrą sprawę prędzej skróciłiby o głowę niż wypuścili z tej służby, a ktoś dostałby wysokie odznaczenie, że wykrył groźnego szpiega. Kiedy rozpocząłem tam pracę był rok 1951, a więc czas stalinowskiego terroru. Zdawałem sobie dokładnie sprawę, że wyjście stamtąd możliwe jest tylko poprzez kazamaty ulicy Rakowieckiej. W tym czasie masowo zaczęły mi wychodzić włosy z głowy.

Nie bez powodu martwiłem się, w co się wpakowałem. Byłem młodym człowiekiem i zbyt mało doświadczonym, abym mógł samodzielnie poradzić sobie z tym zagadnieniem. Panowało we mnie ciągłe napięcie. Najgorzej, że nie miałem nikogo, abym mógł się poradzić i zwierzyć.

Tego groźnego napięcia nie wytrzymał Julek Goździk. Był to bardzo dobry i uczynny chłopak. Prowadził podobnie zmianę jak ja. Pracowaliśmy na trzy zmiany i on był jednym z prowadzących. Oprócz mnie i Goździka był jeszcze jeden z oficerów, ale nie pamiętam jego nazwiska. Julek wziął sobie to wszystko zbyt mocno do serca. Nie wytrzymał, nerwy mu puściły i chłopak zwariował. Odwiedziłem go parę razy w Tworkach w zakładzie psychiatrycznym. Smutno to był widok. Kiedy go podleczyli i wyszedł to wiadomo było, że w Organach Bezp. Publicznego pracował nie będzie. Przeszedł na naszą stację WCz i ponieważ gnębiło go wiele spraw zaczął wymyślać. Przeszedł się bać i było mu wszystko jedno. Wygarnął wszystko, co myślał o Cwejmanie i Bezpiecie. Być może za namową Cwejmana, kpt. Dyr Julka sprowokował i zdenerwował. Następnie

powiedział Julkowi „jak się panu nie podoba to niech pan pisze raport o zwolnienie”. Podsunął mu przy tym papier i pióro do pisania. Julek ujął się honorem, napisał odręcznie raport o zwolnienie na własną prośbę i oddał kapitanowi Dyrowi. Załatwili sprawę bardzo szybko. Nie dostał chłopak żadnego odszkodowania, a przecież wiadomo było gdzie i dlaczego stracił zdrowie. Gdyby nie napisał o zwolnienie z organów BP sami musieliby go zwolnić i to byłoby dla niego korzystniejsze finansowo. Jeśli zrobił to na własną prośbę Cwejman uniknął tłumaczenia, że doprowadził go do takiego stanu. Rezultat był taki, że chłopak żył w biedzie. Nie dali mu żadnego odszkodowania i jak się później z nim kontaktowałem żył jedynie z niewielkiej renty. Tak się traktowało ludzi w systemie, który miał służyć proletariackiemu społeczeństwu. Przyjaźniłem się z nim i odwiedzałem go. Nie wyjechał z Warszawy, gdyż nie miał dokąd. Nie miał żadnej rodziny, mieszkał samotnie w hotelu, gdzie zajmował służbowy pokój. Kilkakrotnie miał nawroty choroby. Jedyne, co dla niego zrobili to nie wyrzucili go z zajmowanego w hotelu pokoju. Ostatni kontakt miałem z nim w 1965 roku.

Często zastanawiałem się czy warto być gorliwym, starając się żeby nałożone obowiązki wykonywać jak najlepiej. Zaczynałem mieć coraz więcej przykładów, że nie warto. Analizowałem swoje postępowanie z postępowaniem innych i dochodziłem do wniosku, że wysuwaniem się przed szereg szkodzi się samemu sobie. Gdybyśmy przykładowo byli z Julkiem miernymi początkującymi i nie przejawiali inicjatywy w poznaniu aparatury, a swoje obowiązki wypełniali byle jak, to nie dostalibyśmy się do pracy jako dyżurni technicy i nie nosilibyśmy tej ogromnej odpowiedzialności, jaka na nas ciążyła. Inni którzy się mniej starali kierowani byli do późniejszych prac spokojniejszych i lepszych.

Analizowałem przykład Kani, który przyszedł do pracy razem z nami. Był chłopakiem starszym ode mnie o 5 lat i być może dlatego mądrzejszym. Gdy się zorientował, że warunki pracy i płacy wcale nie są takie jak obiecywano to przestał się starać i dobrze pracować. Już po kilku miesiącach napisał raport o zwolnienie z pracy w służbie BP. Ponieważ dostał odmowę zwolnienia przestał wykonywać zadania jakie na niego nakładano. Kpt. Dyr nie potrafił wymusić na nim żadnej poważniejszej pracy za wyjątkiem drobnych posług. Ignorował przełożonych w tym samego Cwejmana. Siadał na podłodze i oparty plecami o ścianę przesiadywał tak całymi godzinami. Gdy wchodził Cwejman on na to nie reagował, nawet nie odpowiadał na zadawane mu pytania. Po kilku tygodniach zwolniono go z pracy i w ten sposób uniknął kłopotów, z którymi ja się borykałem. Być może prawdą było to, co Kania mówił, a mianowicie, że ma wysoko postawionego brata w MBP i dlatego się nie bał. Fakt jednak pozostał faktem. Osiągnął zamierzony cel.

Następnym przykładem był Skibiński, który z Julkiem uczył się w jednej klasie. Wprawdzie nie występował o zwolnienie, ale też nie przejawiał zainteresowania pracą. Chodził przeważnie z mandoliną, na niej grał i śpiewał. Ciągłe tylko o tym opowiadał jakby nic innego nie miał w głowie. Kiedy jeszcze byliśmy w szkole to pamiętam jak na praktyce posprzeczaaliśmy się o coś, a on w zdenerwowaniu powiedział.

- Poczekaj jak ja będę twoim kierownikiem, a ty będziesz u mnie pracował to ja ci pokażę.

Jego groźba podyktowana była tym, że chodził on na kurs telemechaników, a ja na telemechaników i z tego faktu wyciągał wniosek, że będę jego podwładnym. Los lubi jednak płatać figle, bo po jakimś czasie, gdy już samodzielnie pracowałem na stacji WCz to tego palanta Skibińskiego przydzielono do mnie do pomocy, abym go przyuczył obsługiwać aparaturę WCz. Śmiałem się w duchu z niego, ale się na nim nie odgrywałem. Nie przejawiałem jednak inicjatywy, aby go uczyć. Po jakimś czasie Cwejman się go pozbył, ale gdzie odszedł tego nie wiem. W tym samym czasie, gdy do pracy przysłała Marta i Włodarczyk, późniejsze małżeństwo, przyszło jeszcze kilkoro innych. Jednym z nich był Smagacz popularnie zwany „Ćmagą”. Był bardzo wesołym i ciągle uśmiechniętym chłopcem. Przeszedł

do pracy na naszą stację z technikum radiotechnicznego w Dzierżoniowie. Lubiłem go, bo zawodowo był dobry, szybko się uczył, a co najważniejsze ciągle miał śmiejącą gębę. Przyszedł także do pracy inż. Kamiński. Bardzo szybko stał się prawą ręką Cwejmana i wkrótce na stacji WCz miał więcej do powiedzenia niż kpt. Krawczyk czy kierownik stacji kpt. Dyr. Nie wiem czy zażyłość Cwejmana z Kamińskim wynikała z tego, że wcześniej się znali czy z tego, że Kamiński także był Żydem. Najprawdopodobniej wchodziło w grę jedno i drugie. Teraz Cwejman miał jeszcze więcej informacji o tym, co się na stacji dzieje, bo Kamiński ciągle u nas siedział i wszystko Cwejmanowi donosił. Cwejman swój gabinet miał na ulicy Ksawerów i wpadał do nas przeważnie rano. Kamiński do wszystkiego się wtrącał, a to bardzo przeszkadzało w pracy. Wprawdzie znał on bardzo dobrze zagadnienia telefonii wielokrotnej, ale samo to wcale mi w pracy nie pomagało.

Jeszcze na początku mojej pracy w MBP wysła sprawą przynależności do PZPR. Zażądano ode mnie legitymacji partyjnej i przeniesienia z poprzedniej organizacji, a ja tego nie miałem. W tym celu pojechałem do Przeclawia i wraz z Mietkiem Mądramkim spiliśmy w knajpie tow. Mela, gminnego sekretarza PZPR w Przeclawiu i ten wystawił mi legitymację kandydacką partii z wcześniejszą datą. Mietek jeden z późniejszych dyrektorów administracyjnych na WSK w Mielcu pomógł mi z Melem, bo dobrze się z nim znał.

Po powrocie do Warszawy wynikł problem, bo okazało się, że kandydatem partii można być rok, a nie jak wynikało z mojej legitymacji 4 lata. Należało mnie wcześniej przyjąć na członka albo wyrzucić. Ściśle tego przestrzegano. W końcu jednak mnie przyjęto. Jak się niedługo po tym okazało z przynależności do partii wynikało wiele obowiązków. Gdybym wcześniej o tym wiedział nie dałbym się do tego namówić. Zmora było siedzenie na zebraniach partyjnych, szkoleniach politycznych i prasówkach. Chciano nam w mózgi wtłoczyć wszystko naraz. Codziennie rano były prasówki, które na zmianę po kolei ktoś inny relacjonował. Gdy wypadło na mnie musiałem zbierać tematy z gazet, przygotowywać się do tego, a później taką prasówkę wygłaszać. Szkolenia partyjne odbywały się też w ten sposób. Na zmianę każdy uczestnik musiał opracować jeden temat z programu szkolenia. Zajmowało to także dużą część wolnego czasu. W końcu tak byliśmy nafaszerowani ideologią, że wierzyliśmy w konieczność walki z kapitalizmem, jako systemem na wskroś złym do tego stopnia, że trzeba go obalić i na jego gruzach zbudować nowy system. Tym systemem na świecie miał być komunizm, jedyne szczęście dla proletariatu z radzieckim człowiekiem na czele. Tęgo radzieckiego człowieka stawiano nam na każdym kroku za wzór. Ten człowiek na polecenie Stalina budował nam już w darze Pałac Kultury.

Zebrania partyjne to był osobny rozdział. Siedziało się na tych zebraniach często do późnych nocy, a jak było wyborcze to do białego rana. Słuchało się politycznych dyskusji prześcigających się ze sobą dyskutantów, popierających swe wystąpienia cytatami z Marksa, Stalina i Lenina. Ciągle słyszało się, że Lenin powiedział to, a Stalin tamto. Ten zalew propagandy wdzierał się w nasze mózgi głęboko, tak głęboko, że zaczynałem myśleć tak jak pozostali.

Pamiętam zebranie partyjne, na którym omawiano sprawę Andrzejewskiego. Był pracownikiem naszej stacji WCz i pracował w akumulatorni. Był to już starszy łysy pan. Biuro do Spraw Funkcjonariuszy SB dowiedziało się, że był on legionistą i w 1920 roku walczył przy boku Piłsudskiego z Armią Czerwoną. W dodatku dostał za waleczność Krzyż Virtuti Militari. Słuchałem tego z obrzydzeniem. Obluzgano błotem Józefa Piłsudskiego. Muszę powiedzieć, że nie mogłem się wewnętrznie z tym pogodzić. Będąc dzieckiem chodziłem do szkoły jego imienia, czym się bardzo szczyliłem. Śpiewałem piosenki legionowe o Piłsudskim i z jego imieniem na ustach wygrywałem dziecięce wojny ołowianymi żołnierzami. Czyżby to wszystko, o czym śpiewałem za dziecka w tych piosenkach było nieprawdą? Czy to, co się o nim wówczas mówiło też było niepraw-

dą? Pamiętałem rok 1935, kiedy Piłsudski, marszałek polski zmarł i był jego pogrzeb. Cały naród był po nim w wielkiej żałobie. Czy to wszystko, co wiedziałem było nieprawdą, a prawdą było to, co oni teraz mówią na zebraniu, że był bandytą? Sam nie wiedziałem, w co mam wierzyć. Może gdybym miał Ojca on wyjaśniłby mi gdzie leży prawda. Nie skłamałby mnie, ale ja Ojca nie miałem, bo zabrała go wojna. W głowie pozostały wątpliwości i zakradał się chaos. O tych wątpliwościach nie było z kim rozmawiać. Jeżeli one były trzeba było się z tym kryć, aby nie być okrzykniętym wrogiem. Andrzejewskiego wyrzucono z partii i zwolniono z pracy, a to oznaczało koniec tego człowieka. Nie znam późniejszych jego losów, ale można się domyśleć, że posądzili go o szpiegostwo. Nigdy więcej go nie widziałem, więc najprawdopodobniej tak było. Był to, bowiem okres największego stalinowskiego terroru. W tamtych czasach nie trzeba było wiele żeby pójść do więzienia lub stracić życie.

Może dzisiaj młodym ludziom trudno pojąć niektóre fakty. Należy jednak wziąć pod uwagę, że społeczeństwo było zastraszone jeszcze od czasów okupacji niemieckiej. Za stalinizmu było nawet gorzej. Za okupacji niemieckiej społeczeństwo stanowiło jeden zwarty monolit ustawiony przeciwko Niemcom, natomiast po wyzwoleniu było inaczej. Społeczeństwo było podzielone, więc bezpieka miała wszędzie swoich konfidentów. Nawet wówczas, gdy wśród swoich mówiło się o polityce to ściszało się głos, mówiło szeptem zamykając wcześniej okna. Ściany miały oczy i uszy. Śpiewaniem piosenek patriotycznych nie mówiąc o legionowych, czy nawet o bitwie pod Monte Casino można było tak się narazić, że człowiek stawał się „czarną reakcją”. Przypięcie takiej etykiety znaczyło być wrogiem ludu, a tacy ludzie stawali wówczas poza prawem i zwalczano ich stosując wszelkiego rodzaju represje.

Mieszkałem na ulicy Iwickiej, boczna Podchorążych. Znajdował się tam duży kompleks bloków mieszkalnych zajmowanych przez pracowników MBP, KBW, Straży Granicznej, Więziennictwa i wszystkich innych służb podlegających Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. Budynek, w którym mieszkałem nie był zamieszkały przez rodziny tylko przez samych pracujących w MBP. Funkcjonował na zasadzie hotelu, więc osoby postronne nie miały tam prawa wstępu. Miałem stamtąd niedaleko do pracy i przeważnie chodziłem pieszo. Od Iwickiej szedłem ulicą Podchorążych, następnie Spacerową i już byłem na placu Unii Lubelskiej, czyli przy Bagatela 14, gdzie pracowałem. Od pracy niedaleko miałem na Ul. Koszykową, gdzie obok przy alei Wyzwolenia znajdował się klub MBP, a w nim stołówka. Chodziłem tam na posiłki, często nawet na kolacje.

Gdy się spojrzy na plan Warszawy to nasza stacja WCz często określana skrótem TkN (od telekomunikacja nośna) znajdowała się w centrum „Jaskini Lwa”. Z prawej Belweder z głównym rezydentem Bierutem, nieco dalej na północ ul. Koszykowa, gdzie był główny gmach MBP, a na południe Mokotów z ul. Rakowiecką i słynnym więzieniem, oraz mnóstwo innych rozmieszczonych na Mokotowie budynków podległych MBP i KBW. Śmiem twierdzić, że ilość łączy telekomunikacyjnych sieci MBP przewyższała swoją liczbą łączność sieci miejskiej. Łączyła i wszystkie kable MBP były dokładnie oplombowane i biada temu, kto zerwałby taką plombę. Zdarzało się, że wykorzystywano w kablach pocztowych niektóre pary przewodów, ale stosowano takie praktyki w stosunku do mniej ważnych abonentów. Ściśle strzeżono tajemnicy schematu połączeń poszczególnych abonentów z naszą stacją TkN. Miał do tego dostęp tylko jeden człowiek. Później dołączono do niego jeszcze Firleja.

Pomieszczenie, które zajmowałem w hotelu przy ul. Iwickiej było zwykłym mieszkaniem, które zamieszkiwaliśmy w trójkę. Były tam 2 pokoje, łazienka i mała kuchnia. Mieszkałem z Aleszczykiem Robertem fot. 8/11 i jeszcze jednym chłopakiem, który pracował z Aleszczykiem fot. 7/11. Na fotografiach zafasowaliśmy właśnie mundury i robiliśmy przymiarkę. Miałem wtedy stopień sierżanta, ale w mundurach nie chodziłem do pracy, gdyż nie było takiego obowiązku.

(Cdn.)